Rok XXIV. We Lwowie, dnia 19. stycznia 1917. Nr. 3.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 13·— K. półroczna . 7·— „ kwartalna . 3·50 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracye i Ekspedycya: X. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petita.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Młodzież szkolna a teatr.

Temat ten ciągnie się na kształt węża morskiego od wielu lat w debatach pedagogicznych. W czasach surowszej karności stawiano go jako dylemat między czynnikami dodatnimi a ujemnymi w wychowaniu. Kiedy wpłynęliśmy na szlaki liberalniejsze w dyscyplinie szkolnej, przyszło zadowalać się omijaniem raf, które groziły zwichnięciem kierunku w naszem sterowaniu pedagogicznem. Bywały już wtedy chwile naszej bezsilności. Wojna chmurą zaciągnęła się nad szkołą, a miejscami nawet przygasiła jej ogniska. W łunie wojennej, która wyjaskrawia wszystkie dziedziny życia, trafiają i szkołę refleksy pożarnych płomieni. Zaskoczeni inwazyą, widzieliśmy tu, jakie pokusy oplotły młodzież i jak niestety poczynała im ulegać. Na uchodźtwie też czyhały na nią niebezpieczeństwa, w których polor młodości się ścierał. Po odparciu wroga, kiedy zebraliśmy naszych rozbitków, padała z wielu stron uwaga, jak ta młodzież dziwnie spoważniała. Zdawało się, że sama powaga chwili zaciążyła nad beztroską wieku młodego. Dla oka mniej podległego złudzeniu nie było jednak tajnem, że i żar gorących podmuchów oparzył i pogrubił wrażliwość młodych uczuć.

Spostrzeżenie to potwierdzał spotęgowany pociąg do mniej wybrednych upodobań, między innemi do śliskich widowisk kinowych i teatralnych. W ten sposób wypłynęła znowu na widownię pedagogicznych problemów kwestya teatralna. Dziś nie pora na jej teoretyczne roztrząsanie, na powoływanie się, że w naszej tradycyi były czasy, kiedy przedstawienia sceniczne wchodziły w program szkolny, dziś zjawia się ona jako nagląca potrzeba i praktyczny postulat wychowawczy. Ale przy jej rozważaniu zapominać nie można, że choć to sprawa szkolna, wychodzi po za mury szkoły i silnym klinem wciska się w kwestye społeczne i panujące w społeczeństwie prądy.

A dziś tam nie odcina się ona tą wyrazistością, któraby była znakiem należytego jej zrozumienia. Zamazała ją modernistyczna literatura, teatr w cień podały i obniżyły kina, z któremi wypadło mu współzawodniczyć, zabarwiło go dzisiejsze podniecenie, które nie szuka subtelności, wpłynęła nań zmieniona widownia. Wprawdzie mnożą się znaki, że po wojnie będzie lepiej, zapowiada się reforma kinoteatru, w dziedzinach sztuki prawdziwej objawia się tęsknota za tematami poważniejszymi i sztuką godną tego miana.

Zapewne nie dożyjemy tego, żeby teatr był, jak w czasach helleńskich, świątynią, ani jak w wieku 18-tym, salonem, jednak może nie daleka już chwila, kiedy masowo reżyserowana nastrojowość efekciarska w odczuwaniu zblednieje na korzyść walorów artystycznych. Jeszcze błąka się w pamięci, ale z mniejszem już dla Reinhardta uwielbieniem, wystawienie „Cudu“ Vollmollera w londyńskiej Olympii, kiedy tłumne procesye na tle olbrzymiego tumu przelewały się hałaśliwie w takt muzyki Humperdincka, a z całym realizmem wybijały się sceny, daleko po za cudem stojące. Takich orgiastycznych wybuchów nie zniosłaby „Siostra Beatrix“ Maeterlincka, któremu poczucie poetyckie w obrobieniu tej samej legendy pozwoliło zaledwo na lekkie napomknienia o życiu pozaklasztornem upadłej zakonnicy i to w takim wątku nastrojowym, że jej słowa nie znajdują nawet wiary u sióstr, którym chce swą winę wyznać.

Wojna daje nam dosyć ogłuszających efektów. Po wojnie szukać będziemy nie oszołomienia, ale z prawa kontrastu wróżyć można, że myśl znużona długą szarpaniną rzeczywistości, chronić się zechce do świata illuzyi, by tam znaleźć ukojenie i spokój. Zanim to nastąpi, liczyć się musimy z tem, co jest. Jeżeli długo przed wojną, bo jeszcze w roku 1905 w liście pasterskim, przepojonym miłością młodzieży, pisał nasz X. Arcybiskup, że „ze złej sztuki teatralnej podobnie jak z szynku droga wiedzie najczęściej do domu nierządu“, to wnosząc już z głosów prasy, zdarzają się dziś akcye sztuk, które jakby w samym domu nierządu się rozgrywały. Nawet nie tyle fa-

buła, ile pikanterya sytuacyi, półsłówek, ruchów, stanowi atrakcyjne clou owych dramideł. Trudno tu rozwijać treść, słowne i gestowe obrazowanie toczącego się na deskach sceny dyalogu.

Wystarczy wskazać na jednomyślny głos krytyki piętnującej moralną wartość niektórych sztuk, którym niestety, jak naoczny świadek dwóch takich przedstawień statystycznie stwierdził, przypatruje się w znacznym procencie widzów niedorosła i dorastająca młodzież obojej płci w wieku od 8 do 18 lat. Jeżeli dla odparcia niebezpieczeństw, zagrażających dziś z wielu stron młodemu pokoleniu, zawiązują się pod hasłem „Ochrona dziecka i młodzieży" komitety krajowe i miejscowe, a duszpasterska piecza duchowieństwa obmyśla środki ochronne, jakimi w swoim zakresie rozporządza, to i szkoła powinna znaleźć sposoby ratunku i ochrony swojej młodzieży przed takimi, jak *zły* teatr, wpływami. Skreślenia takich sztuk z repertoaru teatralnego, czego domagają się krytycy, spodziewać się nie możemy. My nie możemy marzyć, by teatr stał się szkołą moralności, o czem marzył Schiller w swoim programie: „Die Schaubühne als moralische Anstalt betrachtet".

Kierownictwo teatru odpowie, że dla niego produkcya sceniczna danej chwili jest miarodajną, że dziś kontakt z blizkim frontem każe lekką robić zastawę rozrywkową, że wreszcie zdaniem jego nie wszystkie sztuki, jakie się gra, są dla młodzieży nieodpowiednie. My tylko możemy odciągać młodzież od teatru, kiedy afisz zapowiada sztukę nie dla niej. To nakazuje nam nasze sumienie pedagogiczne, to jako nasz obowiązek przypomina nam opinia publiczna, o to wreszcie upominają się sfery rodzicielskie, które zresztą lwią część winy dzisiejszego stanu ponoszą.

Jak mamy się jąć tego dzieła, które jest bezsprzecznie naszą powinnością? Sądzę, że tu otwierają się nam dwie drogi z kierunkiem analogicznym do owego nakazu, który był wykwitem mądrości starożytnej: συνέχου καὶ κατέχου — *sustine et abstine!* W odwróconym porządku aktywnie postawione to hasło oddaje w rękę wychowawcy dwa niezmiernie cenne środki wychowawcze: z a k a z i h a r t o w a n i e w o l i wychowanka. Pedagogia najnowsza niemal wyrzeka się tych środków, idąc po linii najmniejszego oporu w prowadzeniu młodzieży. U nas reakcyę przeciwko wygodnemu poddawaniu się pod lagunowe rozlewy pomysłów chwili zapowiadają poczynania nowego wiceprezydenta Rady szkolnej krajowej, który z męską siłą pragnie tchnąć stanowczość w technikę uczenia i kierowania młodzieżą ku jasno wytkniętemu celowi.

Przy tak pojętem zadaniu szkoły mógłby i zakaz przyjść do swoich praw i w sprawie teatru wybawiłby nas z naszej bezradności, z której wyjść wielu nie ma odwagi. Podstawę do takiego zakazu dają nam nasze przepisy szkolne, których rewizyi, co prawda, od lat oczekujemy. Paragraf 17. tych przepisów odnośnie do teatru brzmi: „Do teatru lub na inne przyzwoite widowiska uczęszczać mogą uczniowie klas niższych tylko w towarzystwie osób starszych. Uczniom klas wyższych wstęp na nie jest dozwolony, wszakże dyrektor może zabronić uczęszczania na pewne przedstawienia". Przepis ten wartałoby dziś odgrzebać z pyłu zapomnienia, dziś pewniej niż kiedyindziej wykonalny, gdy mniej jest młodzieży starszej, a zakazy wojskowe już zahamowały pęd późnego wałęsania się niedorostków i wyrostków po mieście.

Ze szpalt prasy padło życzenie: „Der Kino- und Theaterparagraph soll mit unnachsichtlicher Strenge gehandhabt werden". Nawet organa policyjne swoją ingerencyą, przed którą się dawniej broniły, poskramiają swawolę studentów w teatrze. Wiemy, że opieka policyi wobec młodzieży szkolnej nie może być wszystkiem — tu szkoła przyjść musi do głosu. Tym pośrednikiem, któryby ucznia oddawał z rąk policyi w ręce szkoły, byłyby l e g i t y m a c y e. Domagano się ich oddawna. Dziś, gdy każdy ma kieszenie zapchane przeróżnymi dokumentami legitymacyjnymi, legitymacya studencka nie będzie czemś niezwykłem. A będzie ona zawsze świadczyła za uczniem, będzie go broniła przed mieszaniem go z pseudouczniami, a w wypadkach przewinień stawiać go będzie przed sąd szkoły jako właściwy jego trybunał. Winien będzie takiego sądu, gdy mimo przepisu szkolnego zjawi się w teatrze na sztuce zakazanej. Że sztuka nie jest dla niego, p o w i n i e n m u p o w i e d z i e ć a f i s z, jak to już zaprowadzono w niektórych krajach, dbałych o zdrowie moralne młodych pokoleń.

Na widowiskach, gdzie na afiszu widnieje ostrzeżenie: „wstęp wzbroniony dla młodzieży", nie napotka się widza niedorosłego. U nas coś podobnego zapoczątkowano komisyami cenzuralnemi dla kinoteatrów, nie z tym prohibitywnym skutkiem, jak w krajach wspomnianych, ale zawsze z pewnym hamulcem dla przedsiębiorców. Otóż tego rodzaju komisya, kwalifikująca choćby tylko głosem doradczym sztuki dla młodzieży, spełniałaby to prewencyjne zadanie.

Ubytek widzów na pewnych przedstawieniach rekompensowałyby t e a t r o w i p r z e d s t a w i e n i a s z k o l n e w jakichś godzinach południowych w niedziele czy święta, a więc w porze, kiedy teatr zwyczajnie jest wolny. Złączone zakłady wypełniałyby każdym razem teatr po brzegi. Niedzielne południowe przedstawienia miałyby nawet większą frekwencyę, niż miały ją przedwojenne przedstawienia sobotnie, kiedy wytwarzała się kolizya z przedmiotami nadobowiązkowymi. Dobór takich przedstawień zaprawiałby smak młodzieży do sztuk wartościowych i tem samem urabiałby grunt odporny do marnych sztuczydeł. Wspomniana komisya mogłaby też mieć głos przy układaniu repertoaru szkolnego. — Obok przedstawień, przy których zakaz, względnie zachęta decydująco wpływać ma na ucznia, są przedstawienia, ze względu na te dwa motywy, indyferentne. Uczniowi wolno nie iść. A jednak i przy takich przedstawieniach mogłaby szkoła swoją kierującą zachować rolę, gdyby uczniowie grupkami skupiali się koło profesora i z nim razem szli do teatru. Zręczność nauczyciela, wolnego od złudnych haseł moderny, jak to już wypróbowano w czasach przedwojennych, oddaje w takich wypadkach i uczniom i szkole dobre usługi. Sąd jego, zwłaszcza gdy umie otoczyć się powagą i wiarą w siebie, jest wyrocznią i regulatorem upodobań i uczuć klasy, przenosi się do domu rodziców i wytwarza atmosferę przyjaźną dla nauczyciela i dla szkoły. W takiej harmonii moglibyśmy powołać i dom do współdziałania skutecznego w odwróceniu uczniów od senzacyjnych i szkodliwych

sztuk teatralnych, przy każdem zetknięciu się z rodzicami, a przedewszystkiem na konferencyach informacyjnych, jeżeli nawet nie dałoby się urządzać dla nich podobnej, jak to w ostatnich czasach urządzano w Poznaniu, wieczornicy. Bez pomocy i zrozumienia domu praca szkoły, choćby najbardziej wytężona, może być problematyczna.

Ale prócz zakazu i tych więcej suggerujących środków szkoła ma trwalsze sposoby oddziaływania na młodzież i czynienia młodych dusz odpornemi na zło. Cała nauka, wychowawczo prowadzona, jak ją Herbart pojmował, dać powinna siłę moralną i hart na życie. Ale tu znowu spotykamy się z prądami społecznymi, które chłodem owiewają i mrożą porywy szkoły. — Dobrze to ujął autor przygodnego artykułu: „Schützet unsere Jugend"! w słowach, które mają głębszy podkład: „Die heutige Welt hat in ihrem Streben vielfach den Ewigkeitsgedanken beiseite geschoben und sucht nur im Erwerb ihren Lebenszweck". Do tych nizin materyalnych ściąga się i szkołę, a przecież ona ma i w swojem posłannictwie i w swojej organizacyi *caelum tueri*. Tam trzeba nam samym patrzeć i tam wzrok młodzieży kierować. „Gdzie jest wola, tam jest droga" — powiedziano niedawno wobec większych trudności. Gdy w całem dziele nauki i wychowania cel etyczny świecić będzie nad szkołą, gdy w tem świetle uczeń pojmie i spełniać będzie twardo swój obowiązek, uzbroimy go do walki z wszelkiem niebezpieczeństwem, które zagradzać mu zechce wstęp na górę św. Grala. „Pragnienie piękna odwraca od rozwiązłości" — mówi Leonardo da Vinci. Pragnienie piękna moralnego, które wszczepi szkoła w swą młodzież, znieczuli ją na pokusy złej sceny. Uchylać te pokusy, gdzie można, to także pedagogiczna ochrona. Dziś w tym kierunku posłużyć się można momentem psychologicznym, przywodząc na pamięć młodzieży, że dziś nie pora bawić się, gdy wielkie losy się ważą i krew strugami się leje, by szczęśliwsze zabłysło jutro. *Dr. Wincenty Śmiałek.*

Z powodu narzekań na „Frintaneum".

Nieźle się stało, że jubileusz „Frintaneum" poruszy sprawę doktorów teologii, a pośrednio poziomu umysłowego naszego duchowieństwa i stanu polskiej literatury religijnej. Wydanie sądu o tem, co nam dał Wiedeń, co Insbruk, co Rzym, czy Fryburg, na razie niemożliwe. Potrzebna byłaby, jak zaznaczył X. J. Radlica — lista tych wszystkich, którzy na tych uniwersytetach uzyskali doktorat, by po porównaniu wydać sąd objektywny. Stan rzeczy jest niewesoły. W potępianiu jednak siebie samych trzeba się strzedz przesady. Nie wolno zapominać, że ilość polskiego duchowieństwa jest stosunkowo nieznaczna, że parafie są liczniejsze u nas, aniżeli gdzieindziej, że stan literatury obcej pod względem jakościowym nie zbyt wysoki, niejednokrotnie marny, a nasz dorobek nie zawsze dobrze znany, dlatego raczej apelować do większego poświęcenia, do heroizmu, by potrzebom duchowym sprostać o ile możności najlepiej.

Przyczyn tego, że niewiele dobrych rzeczy u nas się ukazuje, trzeba szukać głębiej. Któż należał do wybitnych teologów? Origenes, Doktorowie Wschodu, Zachodu, Albert wielki, Tomasz z Akwinu i t. d. U nich wszystkich wykształcenie pozateologiczne było bardzo wysokie. Można powiedzieć, że przystępowali do pracy swej pisarskiej na polu religijnem, opanowawszy nauki świeckie. Tego samego domaga się i dzisiaj każdy wstęp metodyczny do nauk teologicznych. By się choć w części samodzielnie obracać w zakresie rzeczy studyowanych na wydziale teologicznym, jakżą już wiele kandydat stanu duchownego powinienby wiedzieć z filozofii i przyrody do dogmatyki, z filologii do biblicum i t. d.

Ponieważ tego nie wie — a to trzeba stwierdzić — więc w czasie studyów uniwersyteckich tylko się uczy, podręcznik staje się dla niego źródłem mądrości, a o tem, co to jest nauka, co to jest badanie naukowe, w którymkolwiek kierunku, niema on pojęcia. Jest w położeniu ucznia, który nie znając dobrze gramatyki i właściwości jakiegoś języka, posługuje się „brykami". Jak ten nie zrozumie nigdy ducha języka i piękności utworu, tak tamten arkanów nauki.

Staje się to tem oczywistszem, że seminaryów przy katedrach jest niewiele, a i w tych praca jest trudna, bo nieraz nie mają swoich lokalów, lub członkowie nie mogą dostać odpowiednich wydawnictw, albo też kierownicy sami nie przeszli odpowiedniej szkoły praktycznej, by mogli tych ludzi wprowadzać w cudny świat badania naukowego. Charakterystyka bliższa zbyteczna, bo i te uwagi otworzą oczy na przyczyny. Jeśli jest tak niewesoło z gałęziami, które mają seminarya, to cóż dopiero mówić o tych, które nie mają żadnych ćwiczeń? Wówczas uczeń nie wie, o czem i jak może pisać, a podręcznik wydaje mu się doskonałością, do której nic dodać i z której nic ująć nie można, bo wszystko *ex se patet, a opinio adversa nullam rationem habet.*

O ile chodzi o ćwiczenia seminaryjne, to jeszcze najlepiej rzecz przedstawia się w Niemczech, ale nie w Austryi, choć i tam, gdy się weźmie pod uwagę ilość duchowieństwa, ilość uniwersytetów, nie mogą rezultaty zadowolić.

A dalej nie trzeba zapominać i o tem, że księża przeważnie pochodzą z ludu. Oni pierwsi ze swej rodziny zaczynają żyć życiem kulturalnem i muszą odbyć ogromną drogę rozwojową od pasterza — do człowieka współczesnego. Ta ciężka praca mózgu, nerwów, woli nie każdemu się udaje, niejednemu przepaliła już nerwy tak, że w pewnym punkcie staje i nie może iść dalej. Ten los spotkał wielu doktorów teologii — i wogóle ludzi ze wsi, którzy kończyli inne wydziały. Pochodzący zaś z innych warstw trzymają się dawnej recepty naszej szlachty co do tego, którego z synów posłać na teologię.

Ale i doktor teologii, który posiadł metodę naukową, nerwów nie przepalił, jest zdolnym do dalszej pracy naukowej i pełen najlepszych chęci, ma do przezwyciężenia trudności bardzo poważnej natury. Jak każda praca kulturalna, tak i nauka teologiczna polska musi się oprzeć o swoje środowisko, musi w niem tkwić i nawiązać do pracy uprzedniej. A tutaj na każdym kroku nasuwa się pytanie: od czego zacząć, dla kogo pisać, co pisać? A tem ostrzej zarysuje się to pytanie, gdy się ma na względzie nie podręczniki, nie kompilacye w gorszym czy całkiem

złym, albo lepszym stylu, ale badanie naukowe, które sięga do nowych problemów. Tem się też tłumaczy, że to, co się nieraz pokazywało, z nielicznymi wyjątkami i poza plagiatami, ma dziwnie smutne i zaspane oblicze, pytające, skąd ono się tu wzięło wśród obcych i obojętnych mu twarzy? Zasypia też spokojnie u księgarza, a po największej części u autora — nakładcy. Z powodu wypadków politycznych, braku duchowieństwa i t. p. musi się nawiązać do czasów bardzo dawnych. A jest to koniecznem, by praca mogła być planową — konieczną tu jest Historya literatury religijnej w Polsce.

A teraz pytanie dalsze: gdzież ten warsztat, przy którymby ten doktor mógł pracować? Pomijam profesorów uniwersytetu, bo tym chyba X. Dr. N. nie ma nic do zarzucenia, ale mam na myśli ogół doktorów, którzy są tylko doktorami. Gdzież te biblioteki teologiczne, mające wydawnictwa źródłowe, czasopisma naukowe, najważniejsze przynajmniej publikacye zagraniczne? A cóż bez tego zrobi? Chyba z trzech książek czwartą, zręczniej lub mniej zręcznie zacierając ślady, skąd co wziął do swego „studyum krytycznego". Na własny koszt tego się podjąć nie może, nie ma też dość swobody, by się gdzieś przypiąć do biblioteki w wielkiem centrum umysłowem. Seminaryjne nie mają dostatecznego uposażenia, klasztorne są niedostępne, kapitulne — nie kontynuowane.

A choćby coś napisał, pokonawszy tysiączne trudności, to kto mu wyda i kto będzie to czytał? Na kazania jeszcze znajdzie nakładcę, ale na jakieś studyum szczegółowe nie tak łatwo. I nic dziwnego. Księży polskich jest około 9 tysięcy, z tych czas na czytanie ma może połowa, ochotę do czytania $^1/_4$, zainteresowanie dla pewnej kwestyi $^1/_{10}$, a chęć kupienia $^1/_{20}$. W wydaniu Bardenhevera „Biblische Studien" wyszła niedawno X. Dra Józefa Wrzoła, Polaka ze Śląska, monografia o „Autentyczności drugiego listu do Tessaloniczan"[1]). Nie wiem, ilu znajdzie czytelników, ilu nabywców, choć się ukazała na rynku światowym. Co innego rzeczy popularne, ale do popularyzatorstwa trzeba specyalnych zdolności, których ani przez rygoroza nie można nabyć, ani specyalnie od doktorów wymagać.

Czyż niema wyjścia?

Nie da się zaprzeczyć, że pewne punkty są bardzo trudne do zmiany i nie od nich też należałoby zaczynać, ale niektóre przyczyny nie pisania mogą i jednostki dobrej woli usunąć. Trzeba zwrócić uwagę na postulaty ważne, niezbędne, a w naszej leżące mocy. Na pierwszy plan wysuwa się stwierdzenie faktu, że Polska zbyt daleko leży od wielkich ognisk umysłowych, by mogła być w sferze ich wpływu i w rytmie ich życia, ale musi stwarzać własne środowiska naukowe teologiczne. Tak jak się okazało, że równiny między Odrą i Dźwiną powinny tworzyć odrębny organizm polityczny, to samo prawie można powiedzieć o nauce wogóle i o samej teologii. A tego właśnie niema. Stworzenie tego rodzaju ogniska może być ambicyą miast, które mają uniwersytety i liczne zakony, jak n. p. Kraków. Tak, jak Kościół polski z prymasem na czele wobec Stolicy świętej stanowi odrębną jednostkę organizacyjną, tak też i kultura teologiczna na całym obszarze Rzeczypospolitej powinna mieć jeden wspólny rytm życiowy. Nie chodzi tu o cele polityczne, lecz o całkiem naturalną prawdę jedności kulturalnej. Tak jak wszyscy biskupi polscy wydali wspólną odezwę do całego świata katolickiego, podobnie cały świat naukowy polski w dziedzinie teologicznej powinien przemawiać wspólnie do zagranicy przez swe wydawnictwa, przez wyniki swych badań. Musimy stanąć na równi z innymi przy katolickim warsztacie świata.

Może to się wyda niejednemu zbyt odległem. Mnie osobiście nie! W każdym jednak razie nie przyjdzie to samo i nie stanie odrazu w całej swej okazałości. Potrzebne są etapy, a pierwszym z nich, to skupienie wszystkich, którzy chcą się nieco więcej zajmować nauką, w „Towarzystwo miłośników nauk teologicznych", organizacyę ogólno polską, któraby spełniała rolę łącznika, kierownika, opiekuna wszystkiego tego, coby się u nas na polu teologii miało podjąć. Wydawnictwa naukowe, pismo naukowe, zebrania tam, gdzieby było więcej członków, byłyby tymi czynnikami, podnoszącymi poziom naszej nauki. Zależnie dopiero od rozwoju tego „Towarzystwa", od ilości i wysokości fundacyi, możnaby pomyśleć o wielkiej pracowni naukowej, zaopatrzonej w bibliotekę, czasopisma i t. d.

By módz tych chętnych zliczać i wysondować, co naprawdę można zaczynać, należałoby m. zd. urządzać kilkutygodniowe kursa wakacyjne, na którychby najwybitniejsi u nas pracownicy na polu naukowem udzielali chętnym wiadomości z pewnych dziedzin teologii. Wyrabianie się zaś naukowe ludziom, którzy są jeszcze w seminaryum, możnaby bardzo ułatwić przez danie im „Wstępu do nauk teologicznych", któryby ich wprowadził w metodę i źródła poszczególnych grup, jak n. p. Bernheim czy de Smedt w badania historyczne. Rzecz tę możnaby zrobić wnet, ale tylko zbiorowo.

Szczegółów więcej na razie nie potrzeba, pisaniem nie można też więcej nic zrobić, dalej może sprawę tylko celowe działanie posunąć. Nie jest to jednak zadanie specyalnie doktorów czy niedoktorów, lecz ludzi, którzy mają poczucie odpowiedzialności wobec przyszłości za to, co następcom na polu naukowem zostawią. Myślę też, że wcześniej czy później to, co dzisiaj wydaje się tak dalekiem, powstanie wysiłkiem kapłanów o wielkiem sercu i żelaznej woli.

X. Teofil Długosz.

Korespondencya z Wiednia.

Wiedeń pod względem językowym jest małem zobrazowaniem państwa. 2,167.000 licząca ludność stolicy ma 9% Żydów, ile wypada na inne narodowości, niewiadomo. Statystyka podaje, że w Dolnej Austryi jest 120.000 Czechów, 5000 Polaków, 2000 Rusinów, 1000 Słoweńców, 430 Kroatów, 1000 Włochów. Prawdy trudno dojść, bo w Wiedniu roi się od „Niemców", których ojciec był Polakiem a matka Czeszką, pełno też nazwisk słowiańskich, noszonych przez patryotów niemieckich, jak Hrozny, Hlawaty, Swoboda i t. p. Poszczególne narodowości liczą się też daleko wyżej, Czesi n. p. na 300.000, Polacy na 20.000, Włosi na 10.000.

[1]) Por. *Gaz. Kośc.* z r. 1916, str. 395.

Któż troszczy się o potrzeby religijne tych ludzi? W ostatnich dziesiątkach lat wśród wielu trudności zwłaszcza ze strony magistratu wiedeńskiego poszczególne narodowości wystarały się dla siebie o kościoły, gdzie mają nabożeństwa, kazania, spowiedź w swoim języku. Parafii jednak nie tworzą z wyjątkiem Rusinów.

Na Rennwegu mają kościół Czesi i Polacy, Kroaci na Mariahilferstr., Włosi — kościół Minorytów przy Placu Minorytów, Węgrzy na Kärntnerstr., Rusini na Postgasse, a obecnie z udziałem i sfer rządowych i magistrackich buduje się — m e c z e t przy Türkenschanzparku. Sympatye w tym kierunku są bardzo gorące i powszechne — można spotkać nawet księży — austryackich Niemców, noszących półksiężyc jako odznakę.

Polaków obsługują trzej XX. Zmartwychwstańcy z X. Rektorem Kuklińskim C. R. O ile chodzi o same nabożeństwa, to codziennie jest w kościele polskim 5—6 mszy, w oznaczonych ściśle godzinach, Komunii udziela się co pół godziny, codziennie o 6¹/₂ wieczór jest cząstka Różańca i błogosławieństwo; tak w czasie pierwszych mszy, jak i w czasie błogosławieństwa mają wierni możność spowiadania się, przychodzi też do spowiedzi z tego powodu i sporo Niemców. W niedzielę główne msze są o 7, 8, 9 (z wystawieniem), 11, 12. Kazanie jest przed południem o godzinie 10¹/₂, po południu o 5-tej. Jest to jedna część pracy XX. Zmartwychwstańców, do której dołącza się odprawianie w niedziele i święta mszy na Kahlenbergu. Już sama praca w kościele wiele wymaga wysiłku, choćby dlatego, że ilość spowiadających się i komunikujących przewyższa ilość któregokolwiek kościoła w Wiedniu, nie mówiąc obecnie o żołnierzach.

Trudność tej pracy zwiększa się jeszcze przez konieczność zaopiekowania się pod względem religijnym żywiołem, który z najrozmaitszych stron pochodzi, ma najrozmaitsze przyzwyczajenia i dziwactwa, bez względu na to, z jakiej pochodzi warstwy, a jest sporo arystokracyi, inteligencyi, robotników, wojska i służby, zwłaszcza służby żeńskiej. Mieszka to wszystko w najrozmaitszych dzielnicach, a przez to, czy Ostatnie Sakramenta, czy chrzest, czy ślub, wiele zabierają czasu, zwłaszcza, że zawsze trzeba wpierw uwiadamiać kierownika parafii, co nie wszędzie należy do rzeczy łatwych. Około kościoła polskiego skupiają się też Sodalicye Pań i Panów, Towarzystwo św. Wincentego a Paulo i t. p. Tu też zgłaszają się po poradę w najrozmaitszych sprawach Polacy, którzy na dłużej lub na krócej przybywają do Wiednia, lub po pomoc, znalazłszy się w pieniężnym lub jakimś innym kłopocie.

Bardzo więc długie trzebaby mieć ręce, by temu wszystkiemu podołać i by wszystkim dogodzić. Dlatego też każdy w jakikolwiek sposób powinien w tej pracy pomagać. Księża Polacy, mieszkający w Wiedniu, koło kościoła polskiego powinni się kupić i niczego nie rozpoczynać bez wiedzy i porozumienia się z XX. Zmartwychwstańcami, bo oni za obsługę religijną Polaków w Wiedniu są odpowiedzialni i za wszelkie niedomagania na nich się szuka sądu. Inteligencya, zwłaszcza Sodalicye powinny dopomódz do skupienia warstw niższych i zaopiekować się służbą żeńską, robotnikami, ubogą młodzieżą, terminatorami. Otwiera się dla nich praca cicha, ale ważna. Czyżby dlatego nie było dla niej, zwłaszcza wśród pań nikogo ochotnego? To, co się dzisiaj robi, jest bezplanowe i reklamowe po większej części.

Wogóle najwyższy już czas, by się przynajmniej w dziedzinie pracy religijnej skupiła wiedeńska kolonia polska: mamy n. p. dwie Sodalicye Pań, jedną prowadzi X. Biskup Bandurski, po usunięciu się X. Zmartwychwstańca, drugą — X. Łukaszkiewicz. Praca też Służebniczek nie ma żadnego kontaktu z pracą Nazaretanek. I tak niema ani jednego punktu, na którymby się wszyscy zeszli, dlatego też topniejemy w obcem morzu!

Co do samego kościoła polskiego pozwolę sobie na jedną uwagę, nie wiem, czy słuszną i czy myśl tę wogóle będzie można wprowadzić w życie: oto pożądanem mi się wydaje, by nabożeństwa, odprawiane w tym kościele, miały więcej podobieństwa do tych, jakie są w kraju. Niemiłe to czyni wrażenie, gdy n. p. ksiądz Polak modlitwy po mszy św. odmawia po łacinie i gdy mu nikt na kościele nie odpowiada. Razi wystawianie „Sanctissimum“ bez śpiewu, bez grania, nawet i w monstrancyi. Obco czują się ludzie, gdy w tym kościele tak rzadko słyszy się na chórze polskie pieśni, podobnie i po południu. Lud musi więcej brać udziału w nabożeństwie, by wiedział, że był w swoim kościele. Próby źle dotychczas wypadały, bo ze zbyt wielu okolic żądni śpiewu pochodzą; gdyby jednak panie zajęły się dziewczętami, śpiewały z niemi wspólnie na zebraniach popołudniowych a i w kościele by im nie ubliżyło, gdyby nie tylko „Boże coś Polskę“ śpiewały, ale i „Święty Boże“ lub „Serdeczna Matko“, sprawa poszłaby łatwiej.

Obecnie trzech ludzi nie potrafi przezwyciężyć obojętności jednych, a trudności stawianych przez drugich. Może ten głos choć kilku rodakom naszym przemówi do serca.

X. Jan Radlica.

Refleksye z podróży.

(Ciąg dalszy).

Trochę nieśmiało dorzuciłbym uwagę — może mylną — że coś z psychiki kobiecej widzę także w mniej sympatycznej wadzie narodu francuskiego, jaką jest n i e t o l e r a n c y a. Wiem dobrze, że inne narody kulturalne mają też swoją nietolerancyę, zwłaszcza wobec obcych; ale francuska tem jest właśnie ciekawa, że zwraca się przeciw samym Francuzom. Antagonizmy polityczne i religijne w tym kraju są najsilniejsze, najbardziej rażące w Europie. Różnica zapatrywań zdolna jest popsuć najlepsze, najserdeczniejsze stosunki; widzimy to w tonie polemicznym gazet, stanowczo najostrzejszym w Europie i w nie przebierającym w środkach sposobie walki i w tej klasycznej wprost nietolerancyi rządu, na którą wskazują z oburzeniem umysły wyższe tego narodu. Wystarczy jeden przykład: kiedy córka prezydenta Rzeczypospolitej Loubeta przystępowała do pierwszej Komunii św., wtedy nie pozwolono ojcu wejść do murów świątyni; wolno mu było czekać na córkę w powozie przed kościołem. Ten najwyższy dygnitarz kraju, któremu nie wolno przekroczyć progu świątyni, aby bodaj towarzyszyć córce: co to za bajeczna illustracya do tej „Wolności“ — Liberté, której imię wyryte jest na każdym gmachu publicznym

we Francyi, nie wyłączając kościołów! Dodam, że szczegół ten, jak wiele innych, podaje pisarz protestancki [1]), że tejże nietolerancyi poświęca całe dzieło znakomity krytyk Faguet [2]).

Jak z Wolnością, ma się rzecz z oną Równością — Egalité, o której tam mówi się najgłośniej, choć są znowu fakta przeciwne, kontrastujące dziwnie z tak wysoko dzierżonem hasłem; dość powiedzieć, że w tym kraju, gdzie socyaliści są u steru rządu, mają co najmniej dwóch swoich ministrów, do dziś jeszcze robotnik nie ma zabezpieczenia na starość, które jest w Niemczech. Miało to zabezpieczenie przyjść do skutku kosztem milionów, uzyskanych z konfiskaty dóbr klasztornych; ale miliony owe utonęły w nieco za obszernych kieszeniach dostojników państwowych; a ludzie nie bardzo śmią głośno zapytać, co się z tymi pieniądzmi stało, bo to naraża na zarzut „klerykalizmu". To też od Francyi, iż zakończę tą uwagą, nie należy się uczyć sztuki rządzenia, ani organizacyi, wogóle cnót zbiorowości; to naród indywidualistów, w którym, podobnie jak w Polsce, jednostka jest sympatyczniejsza od zbiorowości [3]).

Chcąc podziwiać tę zbiorowość, urządzenia społeczne od wielkiej organizacyi narodu do drobnych zrzeszeń natury ekonomicznej czy innej, trzeba się udać do sąsiadującej tuż za Kanałem Anglii. O tej powiemy wręcz przeciwnie, że jednostka tam — przynajmniej przy pierwszem poznaniu — raczej jest niesympatyczna, za to zbiorowość imponująca. Anglik, małomowny aż do śmieszności, już tem samem jest trudny w stosunku towarzyskim i to nietylko przy zetknięciu się z cudzoziemcem, ale i z własnym rodakiem; oczywiście, gdy go dobrze pozna, wtedy umie być bardzo usłużnym; ale nie uczyni nigdy tego, co Francuz, który po półgodzinnej rozmowie z całkiem obcym towarzyszem podróży będzie mu opowiadał o swoich stosunkach rodzinnych; nawiasem dodam, że to ogromnie ułatwia pobyt we Francyi cudzoziemcowi, który w parę dni czuje się jak u siebie. Anglicy przeciwnie, sami opowiadają anegdotki charakterystyczne o swej małomowności [4]).

Dlatego to, podczas gdy w Paryżu ma się nieustannie i wszędzie okazyę ćwiczenia się w żywej konwersacyi i postępy w języku czyni się prędkie, to w Anglii, jeżeli ktoś nie ma poleceń osobistych do rodzin, rozpacz człowieka ogarnia, bo chciałby przecie wydoskonalić się w języku, a więc mówić wiele, a tu nikt nie ma do tego ochoty; trzeba dopiero, mówiąc po naszemu „beczkę soli zjeść" z Anglikiem, by wyciągnąć go na dłuższą rozmowę. Oczywiście są wyjątki, bo i krew anglo-saska już nie jest tak czysta i miewa przymieszki z sąsiedztwa, lecz regułą jest małomowność. Dodam nawiasem, że to odnosi się do samej Anglii, już w Szkocyi jest inaczej; tam mimo języka angielskiego jest krew celtycka i charakter narodu zdradza to między innemi większą znacznie łatwością towarzyską, rozmownością — a także mniejszem dbaniem o czystość, schludność, bo zapomniałem powiedzieć, że sympatyczni potomkowie Celtów gallickich, Francuzi pozostawiają tu wiele do życzenia; na pokaz wszystko wspaniałe, ale zajrzeć z blizka, a spotyka człowieka nieraz rozczarowanie: drugorzędne hoteliki bywają bardzo brudne, zwłaszcza gdy właściciel pochodzi z południowych prowincyi. Tu przyznajmy bez ogródek, że narody germańskie wszystkie bez wyjątku zamiłowaniem czystości, porządku przewyższają znacznie świat romański — a czyż potrzebuję dodać, że i słowiański niestety?

Lecz wracam do Anglii; otóż jeżli jednostka tam niełatwo porwie człowieka, jak we Francyi, to przeciwnie wszystko to, co zwiemy ustrojem społecznym, imponuje i jest w swoim rodzaju arcydziełem, a jest niem dlatego, że dzieło to nie teoryi przy stoliku wykoncepowanych — jak we Francyi — nie siły sprężystej władzy policyjno-administracyjnej — jak w Niemczech — ale to owoc ewolucyi naturalnej, niejako organicznej, jaka dokonywała się i dokonuje w całym narodzie od owej Magna Carta, wyłaniającej się gdzieś z mroku dziejowego i rozwijającej, aż wyrosła na dzisiejszą konstytucyę angielską. Tak jest: co zwiemy konstytucyą, to wszędzie indziej w Europie jest sztucznie implantowane; w Anglii jednej ta konstytucya jest u siebie, w swojej ojczyźnie, na gruncie, z którego wyrosła — i to stanowi siłę, wielkość Albionu. Kto zaś ma zdolność pożycia i rozumienia się w wielkiem zbiorowisku i we wielkich sprawach, temu nietrudno będzie porozumieć się w małych zbiorowiskach i w małych sprawach. To też Anglia jest krajem, w którym jednostki są najbardziej uspołecznione; od zrzeszeń robotniczych do młodocianych skautów: stowarzyszenia tam nie wegetują tylko — jak gdzieindziej, gdzie indywidualizm, przeradzający się w prywatę, je rozsadza i paraliżuje — one żyją, kwitną, jak roślina naturalnym pędem rozwijająca swoje siły żywotne. Polakowi aż zazdrość patrzeć na tę nieocenioną zaletę narodową; bo wszakże brak jej to pierwsza przyczyna naszego upadku!

Dodajmy, że jest to naród z europejskich najzdrowszy, widać to już po wzroście, którym Anglik przerasta i to widocznie przeciętnego Francuza, Niemca, Polaka; pielęgnuje się tam w każdym wieku i warstwie sporty hygieniczne wszelkiego rodzaju; nic powszedniejszego w Anglii jak widok robotników grających w football albo siwowłosych panów i panie skaczących elastycznie przy lawn-tennisie. Powtarzam, to nie rozrywki wybranych — ogół społeczeństwa odczuwa potrzebę pielęgnowania w ten sposób swego zdrowia. Podnosi się zaś jeszcze stokrotnie ta zaleta przez to, że idzie w parze z dbałością o zdrowie duszy. Wysoka kultura ma swoje wielkie grzechy, swoje zboczenie, nie brak ich i w Anglii; ale nie da się zaprzeczyć, że akcya przeciw tym objawom spaczenia prawdziwej kultury najsilniej, najenergiczniej prowadzona

---

[1]) Paul Seippel: Les Deux Frances et leurs origines historiques. Lausanne-Paris. 1905.

[2]) Emile Faguet: l'Anticléricalisme. Paris. 1906.

[3]) Należy tu przestrzedz przed książką Sclavusa p. t. „Babiln" będącą formalną apoteozą Francyi; rzecz ta napisana z naiwnym optymizmem względem Francyi i równie naiwnym pessymizmem względem Niemiec.

[4]) Oto jedna z wielu: Dwóch Anglików jedzie „Orient-Express" z Konstantynopola do Paryża. W Turcyi przez okna wagonu widzą wiatraki; jeden z nich mówi do drugiego: „Oto wiatraki", jedyne słowa od początku podróży; następuje znowu milczenie, trwające dwa dni i dwie noce; trzeciego dnia ukazują się znowu wiatraki na ziemi francuskiej, wtedy drugi podróżny rzecze słowa: „Tu także" — i na tem skończyła się ich cała rozmowa w ciągu trzydniowej podróży.

jest w Anglii, skąd też przykład i pobudka idzie na całą Europę. Wystarczy wymienić ruch skautowy, gdzie obok elementu fizycznego nacisk szczególny kładzie się na element moralny: skaut to przedewszystkiem młodzieniec prawy, wstrzemięźliwy, kochający ideał cnoty. Anglik ma charakterystyczne słowo „moral insanity“, t. j. „moralne niezdrowie“, tkwi w tem to mądre pojęcie, że czem dla ciała zdrowie, tem dla duszy moralność. Poważni krytycy francuscy z zazdrością wskazują na powieść angielską, która, z Dickensem na czele, jest taką powieścią tryskającą zdrowiem moralnem, którą do ręki z przyjemnością weźmie starszy i bezpiecznie do ręki dać może panience trzynastoletniej. We Francyi o to trudniej znacznie — i w tem Anglia ją przewyższa, choć, rzecz jasna, nie dorówna Francyi wspomnianą lekkością, polotem myśli, wogóle kulturą intelektualną. (C. d. n.).

M. Paciorkiewicz.

KRONIKA KOŚCIELNA.

(Zebranie wyborcze Sodalicyi Maryańskiej Panów we Lwowie po przerwie trzechletniej).

(Dokończenie).

Na zakończenie podał Wiceprefekt kilka szczegółów ze statystyki członków — Z początkiem roku 1914 liczyła Sodalicya Panów we Lwowie ogółem członków 243, a mianowicie: *a)* zwyczajnych miejscowych 162, *b)* zamiejscowych 70, *c)* aprobanistów miejscowych 8, *d)* zamiejscowych 3 — razem 243.

W ciągu 3-letniego okresu sprawozdawczego przybyło: nowoprzyjętych członków miejscowych 8, aprobanistów miejscowych 4, przyjętych w Białej 3 — razem 7. Zmarło 15. — Przeniosło się do innych Sodalicyi 2. Z powodu nie pełnienia przyjętych na siebie obowiązków sodalicyjnych wykluczono 9. — Moskale wywieźli ze Lwowa 5. Z powodu wojny wyjechało ze Lwowa 62.

Obecny stan liczebny Sodalicyi Panów: członków miejscowych 92, zamiejscowych 73 — razem 165.

W dyskusyi, która się nad tem sprawozdaniem rozwinęła, sod. Dr. Stanisław Nowosielski mówił o życiu garstki lwowskich sodalisów, których burza wojenna rzuciła na bruk wiedeński. Przyjęci gościnnie przez polską Sodalicyę wiedeńską, zbierali się w jej lokalu na zebraniach miesięcznych, korzystali z biblioteki, odprawili nowennę do św. Stanisława Kostki, a w czasie wielkopostnym rekollekcye. Sod. Jerzy Turnau wygłosił odczyt „O wychowaniu młodzieży“.

Na wniosek sod. Kossowicza uchwalono tę wiadomość o życiu sodalisów lwowskich w Wiedniu dołączyć do ogólnego sprawozdania.

W dalszym ciągu złożył wiceprezes sekcyi eucharystycznej, sod. Dr. Bolesław Salkowski bardzo szczegółowe sprawozdanie z 3-letniej działalności tej sekcyi, która siłą faktów stała się duszą całej Sodalicyi, zastępując w swych pracach także nieczynną sekcyę Propagandy. Podniósł wielkie zasługi w rozwoju życia tej sekcyi jej prezesów: dawniejszego ś. p. Wacława Balickiego i ostatniego Dra Mieczysława Jasińskiego, przeniesionego w ubiegłym miesiącu do Białej, tudzież sod. Marcelego Gajewskiego, który swymi aktualnymi referatami przyczyniał się do licznej frekwencyi członków i ożywionej dyskusyi na zwyczajnych posiedzeniach miesięcznych.

W dalszym ciągu swego sprawozdania Dr. Salkowski, sam także niemałe mający zasługi, jako wiceprezes sekcyi i częsty prelegent, zaznaczył, że przez cały rok 1916 odbywały się co miesiąc, najczęściej w święta Matki Boskiej, wspólne nabożeństwa sodalicyjne z pięknemi i podniosłemi naukami O. Moderatora. Prawie wszyscy sodalisi przystępowali wtedy do Komunii św., wielu zaś przyjmuje ją codziennie.

W ciągu miesiąca października zbierano się licznie w środy i soboty w lokalu sodalicyjnym wieczorem na wspólny Różaniec, a w trzech dniach, poprzedzających dzisiejsze święto Niep. Pocz. Matki Boskiej, wzięła Sodalicya Panów udział we wspólnych naukach rekollekcyjnych wszystkich Kongregacyi Maryańskich w kościele OO. Jezuitów.

Sprawozdanie sekcyi bibliotecznej, bardzo rzeczowe i zwięzłe wygłosił bibliotekarz, sod. Michał Urbański, podnosząc z uznaniem ofiarność dla biblioteki sodalicyjnej sod. Kocowskiego, który ją zbogacił wielu dziełami cennemi. Obecnie liczy biblioteka Sodalicyi Panów 2600 dzieł.

Sod. Karol Kuźniarz, jako skarbnik, podał do wiadomości stan kasy w r. 1916, stwierdzony przez Komisyę kontrolującą, złożoną z sodalisów: Matyskiewicza, Skrochowskiego i Wierzchowskiego, a wykazujący 9104 kor. 59 hal. w przychodach, 8603 kor. 59 hal. w rozchodach i 501 kor. jako pozostałość na następny rok administracyjny.

O. Moderator, podziękowawszy wszystkim sprawozdawcom za obfite w treść przedstawienie działalności lwowskiej Sodalicyi Maryańskiej Panów, którego zebrani wysłuchali z zadowoleniem, przeczytał listę zmarłych w ciągu trzechlecia sodalisów. Za każdego z nich osobno, a za wszystkich w dniu Zadusznym odprawiono mszę św przy licznym udziale sodalisów. Pamięć ich zebrani uczcili przez powstanie, a następnie wraz z O. Moderatorem pomodlili się za spokój duszy tych swoich orędowników przed tronem Najwyższego.

Oto ich nazwiska: Adamczyk Władysław, Aksentowicz Józef, Balicki Wacław, Białoskórski Ludwik, Dobrzański Lech, Janti Stanisław, Januszewski Paweł, Kauczyński Antoni, Kotkowski Józef, Matkowski Alojzy, Poźniak Edward, Sochacki Zygmunt, Zipper Józef, a zamiejscowi: Dorożyński Jakób i Karabanowski Michał. Ten ostatni zmarł na Syberyi w niewoli rosyjskiej! — Cześć ich pamięci!

Przed przystąpieniem do wyboru prefekta zaznaczył O. Moderator, że na ostatniem posiedzeniu Konsulty uchwalono jednomyślnie polecić zebraniu ogólnemu na to stanowisko jako osobistość najgodniejszą sodalisa Aleksandra Dąmbskiego. Do wyboru dwu asystentów czyli wiceprefektów, przedstawia Konsulta 5 nazwisk, a mianowicie dotychczasowych asystentów: sod. Fr. Walczaka i Wład. Hoszowskiego, nadto wielce zasłużonego sekretarza Teofila Bentkowskiego, Dra Józefa Morawieckiego i Eugeniusza Pierożyńskiego.

Przy głosowaniu prefektem wybrano sod. Aleksandra Dąmbskiego 51 głosami, jedną kartkę białą oddano.

Asystentem I. wybrany sod. Franciszek Walczak 38-miu, asystentem II. sod. Eugeniusz Pierożyński 35-ciu głosami. Reszta głosów rozstrzeliła się na 3 pozostałych kandydatów.

Po ogłoszeniu wyborów O. Moderator wręczył nowemu Prefektowi oznakę jego godności, łańcuch złoty z medalionem Matki Boskiej Częstochowskiej i wezwał go do objęcia przewodnictwa.

Prefekt podziękował za wybór, przemówiwszy w te mniej więcej słowa:

„Zaszczytnym tym wyborem jestem zdziwiony i zaskoczony. Otwarcie wyznaję, że spodziewam się w spełnieniu swych nowych obowiązków znaczne napotkać trudności, gdyż nie mam za sobą poważnej pracy katolickiej, a nawet nie znam jeszcze wszystkich sodalisów. Ufam jednak, że tak Konsulta, jak i całe dzisiejsze Zebranie działało pod wyższem natchnieniem. Patrzę z tro-

ską w przyszłość i proszę gorąco Maryi o pomoc, abym przynajmniej nic na szkodę Sodalicyi nie działał. Z całą szczerością, otwartością i miłością proszę też o pomoc wszystkich Braci-Sodalisów, bo inaczej nie podołałbym swemu zadaniu. Jeżeli działanie nasze cechować będzie prostota, szczerość i miłość, to nie wyjdzie ono nigdy na szkodę Sodalicyi, lecz przyczyni się do osiągnięcia jej celów. W tej nadziei wybór przyjmuję".

Następnie O. Moderator udał się wraz z prefektem i obu asystentami do przyległej sali w celu naradzenia się nad wyborem konsultorów, poczem ogłosił nazwiska 14 sodalisów, którzy bez dyskusyi zostali wybrani przez aklamacyę.

W skład Konsulty zatem weszli: Stanisław hr. Badeni, Teofil Bentkowski, Dr. Władysław Hoszowski, Adam Konopka, Karol Kuźniarz, Dr. Józef Morawiecki, Karol Pieniążek, Zdzisław Polmann, Dr. Jerzy Rosinkiewicz, Dr. Maksymilian Thullie, Jan Urbański, Hieronim Wierzchowski, Leopold Wilimowski, Zygmunt Żeleski.

Na wniosek O. Moderatora uchwalono przesłać Sodalicyi bialskiej, jako filii lwowskiej Sodalicyi Panów serdeczne pozdrowienie na ręce p. szambelana Konopki, któremu też wyrażono najgorętsze podziękowanie za wieloletnie trudy i pracę około rozwoju lwowskiej Sodalicyi Panów na stanowisku najpierw jej sekretarza, a potem prefekta. Jako członek obecnej Konsulty został p. Konopka łącznikiem między Sodalicyą lwowską a jej filią bialską.

Po przemówieniu sod. Gajewskiego na temat nowych zadań Sodalicyi, wyrazili zebrani na wniosek p. hr. Komorowskiego najserdeczniejsze podziękowanie O. Moderatorowi za dotychczasowe roztropne a pełne miłości kierownictwo lwowskiej Sodalicyi Maryańskiej Panów, poczem prefekt Aleksander Dąmbski zamknął zebranie. *Franciszek Walczak*, sodalis Marianus.

Duszpasterstwo wśród naszych żołnierzy wziętych do niewoli. Można było przewidywać, że wrogowie nasi nie wiele, albo też i wcale żadnych starań nie dołożą, żeby żołnierze nasi w niewoli mogli spełniać swoje praktyki religijne i żeby duszpasterstwo dla nich mogło być ustanowione. Ostatnie wieści, jakie do nas doszły, dowodzą, że obawy te nie były płonne. Okazuje się, że wrogowie, zwłaszcza prawosławni, nietylko czynili różne trudności naszym żołnierzom w niewoli w spełnianiu praktyk religijnych, ale nawet wprost je uniemożliwiali.

Ojciec św. wyraził życzenie, by ci kapelani mogli spełniać duszpasterstwo w obozach jeńców, którzy do niewoli się dostali i sam na prośbę X. Biskupa Dra Bielika życzenie swoje wyraził wobec państw prowadzących wojnę.

Niestety starania te pozostały bez rezultatu.

Jeden z naszych kapelanów, któremu udało się uciec z niewoli serbskiej, opowiedział rzeczy bardzo przykre. Kapelani, którzy wraz z żołnierzami dostali się do niewoli, wnosili prośbę, by im wolno było odprawiać Mszę św., kazać i spowiadać w barakach jeńców i w szpitalach. Prośbę tę komenda armii serbskiej odrzuciła stanowczo, dopiero przy końcu panowania serbskiego w tym kraju pozwolono kapelanom pod nadzwyczajnym dozorem spowiadać ciężko chorych żołnierzy. I tu więc zaznaczyła Serbia swoją nienawiść do religii katolickiej.

Nie lepiej postępuje i Rosya. Tam jest pod względem religijnym nieco znośniej naszym żołnierzom, pozostającym w wielkich miastach, gdzie są kościoły katolickie polskie i kapłani udzielają im chętnie pomocy duchownej. A zwłaszcza kapelani nasi cały ciężar pracy duszpasterskiej wzięli na siebie w barakach jeńców.

Ale jak opowiadają inwalidzi, którzy wrócili z Rosyi, różnie tam bywa ze sprawą duszpasterstwa.

Duszpasterstwo wśród jeńców zależy przedewszystkiem od łaski komendanta szpitala lub obozu, albo od jego podwładnych, którzy najczęściej je utrudniają.

W niektórych szpitalach i obozach raz, dwa razy w roku odprawić pozwolono Mszę św., a są obozy liczne, do których a n i r a z u nie pozwolono przyjechać duchownemu z posługą religijną.

W niektórych szpitalach pozwalają przystąpić kapelanowi tylko do ciężko chorego, zresztą wzbroniony jest wstęp kapłanom do zakładu.

Stanowczo zabroniono wszelkich posług religijnych dla jeńców obrządku grecko-katolickiego, a na kapelanów tegoż obrządku wpływają władze, by przyjęli „prawosławie". Los kapelanów tego obrządku jest bardzo smutny. Nietylko zabroniono im spełniać posług duchownych, ale pozbawiono ich wszelkiej wolności.

W tej sprawie interweniował Ojciec św. na prośbę X. Bisk. Bielika, ale prośba przyniosła tylko niektórym ulgę na krótko, innych los pozostał niezmieniony.

W sprawie tej interweniowało ministeryum spraw zewnętrznych w drodze dyplomatycznej; zebrano już i kilku chętnych księży z monarchii austro-węgierskiej, którzy ofiarowali swoje usługi dla naszych żołnierzy w niewoli i byli gotowi wyjechać do Rosyi do obozów wojennych dla jeńców: sprawę tę przedstawiono i Ojcu św., który poczynił odpowiednie kroki u rządu rosyjskiego, aby wolno było tym chętnym kapłanom przyjechać — dotąd jednak interwencya Ojca św. pozostała bez odpowiedzi.

We Włoszech nasi żołnierze, pozostający w niewoli, zawdzięczają tylko Ojcu św., że pozwolono im uczęszczać na nabożeństwa i spełniać inne praktyki religijne. Pociechą to wielką jest zwłaszcza dla tych, których rząd serbski musiał przewieść ze Serbii na ziemię włoską. Jak dowiadujemy się z korespondencyi jednego kapelana, pozostającego w niewoli włoskiej, duchownym wojskowym pozostawiono zupełną wolność w spełnianiu praktyk religijnych, a nadto doznają wszelkiej pomocy ze strony Biskupów włoskich.

W ostatnich jednak czasach jeńców austro-węgierskich z Włoch przewieziono do Francyi, a kapelanów pozostawiono we Włoszech. W kwestyi duszpasterstwa dla tychże jeńców interweniował Ojciec św. — i jak wieści dochodzą, unormowano we Francyi najważniejsze sprawy, tyczące się praktyk religijnych. Zarząd tegoż obozu jeńców zażądał dla nich książek do czytania. „Centrala lektury dla żołnierzy" w Wiedniu wysłała kilka pak, dostarczyła też wielu książek do obozów naszych żołnierzy w Rosyi. *X. Pilin.*

Udział duchowieństwa francuskiego w wojnie. Prasa paryska na podstawie niektórych urzędowych dat statystycznych taki podaje interesujący obraz udziału duchowieństwa francuskiego w wojnie:

Gdy w jesieni roku 1914 zmobilizowano armię francuską, znalazło się w niej 25.000 księży katolickich. W przeciągu ostatnich lat 50-ciu Kościół we Francyi cierpiał wskutek małego dopływu młodzieży do stanu duchownego; kadry jego przerzedziły się znacznie już w czasie pokoju, a teraz przyszła mobilizacya, zabierając trzecią część duchownych. W niezliczonych wypadkach jeden jedyny proboszcz spełniać musi obowiązki duchowne dla pozostałej ludności w 9, 10, a nawet do 12 parafiach. W Paryżu proboszcz parafii kościoła św. Małgorzaty, liczącej 100 tysięcy dusz, pozostał sam z dwoma wikaryuszami — reszta księży w liczbie 9, wdziać musiała mundur i pójść na front. Dyecezyę paryską wojna dotknęła zresztą specyalnie ciężko; w dniu 15. marca z. r. zmobilizowanych było z samego Paryża niemniej jak 662 księży i alumnów, a z tej liczby 376 znajdowało się w najbardziej wysuniętej strefie wojennej. Dotąd padło z nich 45, a mianowicie 40 w charakterze zwykłych szeregowców, 5 w charakterze duszpasterzy polowych. Mobilizacyą objęci zostali księża wszelkich stopni, z mgr. Lobetem, arcybiskupem w Gap, na czele.

Nowy podręcznik teologii pasterskiej.

Fakt to bardzo pocieszający, że w tych czasach niewymownie ciężkich, jakie obecnie przeżywamy, pojawiają się przecież nowe, poważne dzieła, które są cennymi nabytkami dla naszej, nie bogatej jeszcze literatury teologicznej. Z radością też powitaliśmy „Podręcznik teologii pasterskiej" X. Dra Alojzego Jougana (Lwów 1917, — stron 1245 w dużej 8-ce. Cena 14 kor. u autora Murarska 47, z przes. pocztową 15 kor. w księgarniach 17 kor.), owoc pracy żmudnej i długoletniej.

Treść jego jest tak obfita, że nie można będzie, jak sądzimy, żądać od kleryków przyswojenia jej sobie w całości do egzaminu, a mianowicie sama liturgika zajmuje tu stron 717 (od str. 36—752), kiedy w innych podręcznikach pastoralnej poświęca się jej daleko mniej miejsca, albo pomija się ją prawie zupełnie. Autor jednak wyszedł z założenia, jak pisze w przedmowie (str. VI), że „jak długo nie powstaną w wszystkich dyecezyach polskich osobne katedry także dla Liturgiki ogólnej, łącznie z historyą i teoryą sztuki kościelnej, nieodzownie potrzebne dla ogólnego wykształcenia zawodowego kapłanów, tak długo podręczniki Teologii pasterskiej, które dotychczas mają być tradycyjnie źródłem informacyjnem dla wszelkich agend duszpasterskich, nie będą mogły zwolnić się od zbytnich rozmiarów materyału, pod grozą zarzutu, że w nich pozostały liczne jeszcze luki do uzupełnienia". Za zdaniem tem przemawia rzeczywiście dużo racyi. Przygodnych pouczeń liturgicznych, udzielanych w seminaryum duchownem i przez profesora teol. pasterskiej, nie można uznać za wystarczające, a trudno też spodziewać się, że każdy alumn znajdzie dość czasu i ochoty do przestudyowania dzieł obszerniejszych, poświęconych liturgice[1]). To też spotyka się nieraz w kołach duchownych rażącą nieznajomość tego przedmiotu, nowych dekretów Kongregacyi itd. Trzeba więc poczytać za wielką zasługę czcig. Autorowi, że tak dokładne podał informacye o budowie kościołów, o ołtarzach i ich przyborach, o tabernakulum, o języku i śpiewie liturgicznym, o postawie i ruchach przy czynnościach liturg., o świetle, szatach i naczyniach liturg., o czasach świętych, o ofierze mszy św., o binowaniu, o mszach wotywnych, o stypendyach mszalnych, o pacierzach kapłańskich, o nabożeństwach eucharystycznych, o Sakramentach św. i Sakramentaliach.

Tak np. czytamy na str. 206, że według przepisu Rit. Rom. tit. IV, c. 1, 5 ciboryum ma być osłonięte t. zw. „sukienką" z materyi białej, jedwabnej, „dla ochrony i ozdobnego okrycia tego naczynia eucharystycznego (Pyxis albo velo cooperta), a zarazem na znak, że w niem zawiera się istotnie N. Sakrament. Przeciwnie zdjęcie tej osłony wskazuje, że ciboryum jest opróżnione" itd. Zdarza się tu i ówdzie, że nawet bardzo zacni proboszczowie i wikarzy nie pamiętają o tym przepisie, jak i o wielu innych. Na str. 483 zaleca Autor bardzo słusznie zwyczaj, powszechny we Włoszech (o którym wspominaliśmy już kilkakrotnie w „Gaz. Kość.", ostatni raz w r. 1916 na str. 95), że „przy Komunii wiernych ministrant podtrzymuje im tackę pod brodą albo też sami ją sobie podają po kolei".

Zresztą czytelnicy „Gaz. Kościelnej" mogli już po części poznać osnowę tego podręcznika z artykułów, które zamieściliśmy w roczniku ostatnim przed jego wydaniem. Por. artykuły p. n. „Światło liturgiczne". „Chleb i wino do Mszy św.". „Trwanie Mszy św.". „Wygłaszanie tekstu przy Mszy św.". „Kadzidło liturgiczne". „O szatach liturgicznych". „Aplikowanie Mszy św. w ogólności". „Msze wotywne". „Teatr ze stanowiska duszpasterskiego". „Lektura jako czynnik opinii publicznej". „Metoda duszpasterskiej pracy w związkach". „O duszpasterstwie indywidualnem". Nie wątpimy, że kto przeczytał te artykuły, nabrał wielkiego wyobrażenia o wartości całego dzieła i zechce je nabyć.

Bardzo dobre i godne uwagi są między innymi rozdziały, w których jest mowa o stosunku wzajemnym proboszczów do wikarych, z których też przytaczamy z przyjemnością zdania następujące:

„Pomnąc na wspólną godność kapłańską i te same święcenia, proboszcz powinien okazywać wikaremu należny z tego tytułu szacunek i dbać o to starannie, by on na plebanii pierwsze po proboszczu zajmował miejsce... Powinien wystrzegać się uprzedzenia a priori do przybywającego wikarego, jedynie na podstawie poprzedzającej go opinii. Nie odzywać się o nim do otoczenia lub służby ujemnie, tem mniej czynić mu przy nich przykre uwagi lub wymówki... Jeżeli wypadnie dać mu upomnienie braterskie czy ojcowskie z powodu jego uchybień dla sukni kapłańskiej, powinno to się dziać w cztery oczy, ewentualnie odnieśćby należało sprawę do Ordynaryusza.

Ochroni go zaś przed uchybieniami, jeżeli wcześnie zwróci jego uwagę, jakie następstwa pociągnąć może za sobą jego niewłaściwe postępowanie w kościele lub na plebanii, jeżeli go przestrzeże delikatnie a uprzejmie przed niestosownem towarzystwem i obcowaniem zewnątrz plebanii... Godzi się, aby proboszcz odwiedzał niekiedy wikarego w jego mieszkaniu, zaopiekował się nim po ojcowsku w razie choroby, ułatwił mu pozyskanie zezwolenia na wyjazd dla wypoczynku lub odwiedzenia rodziny. Wypada też, aby proboszcz dbał o dalsze wykształcenie praktyczne wikarego, zaprawiał go do główniejszych czynności kancelaryjnych, nie szczędził rad co do obowiązków duszpasterskich, podawał wskazówki kaznodziejskie i zaznajamiał z najodpowiedniejszymi ku temu podręcznikami...

Wikary jest tylko jego wyręczycielem, zastępcą, pomocnikiem i współpracownikiem. Nie godzi się przeto wkładać na jego barki co najtrudniejsze obowiązki. Wspólnej posługi w parafii domaga się sama natura rzeczy, kanony soborowe i wskazówki starych synodów polskich. Najsnadniej będzie trzymać się co do zajęć i obowiązków regulaminu, przez władzę duchowną zatwierdzonego, by następnie uniknąć kwasów i niechęci obustronnej[1])....

W nowszych czasach unormowano już w licznych dyecezyach wynagrodzenie należne wikarym za pomoc w funkcyach duszpasterskich. Gdzie się to jeszcze nie stało, zastąpić je winna bądź dobrowolna umowa na wstępie przy objęciu posady zawarta, a oparta na miejscowej tradycyi, bądź zwyczaj przyjęty w sąsiednich parafiach, byle domierzony do rozmiarów pracy, do stanowiska i potrzeb kulturalnych i materyalnych współpracownika, a także do warunków czasu i miejsca.... Wypada przeto z góry wymienić wikaremu, które funkcye spełnia się za wynagrodzeniem a które darmo i jaka część ogólnych dochodów stuły będzie jego udziałem. Byłoby przeto stosowną rzeczą zaprowadzić wszędzie księgę, do której proboszcz miałby wpisywać najdokładniej wszelkie dochody z tego źródła czynności parafialnych wypływające a podlegające podziałowi. Do tej księgi powinien mieć wikary dostęp każdego czasu dla sprawdzenia, czy doręczone mu akcydensa zgodne są z zapisanemi w tej księdze....

Co do wiktu. Zasadniczo nie jest proboszcz obowiązany do dawania wiktu wikaremu. Liczne jednak względy przemawiają za tem, aby kapłani ecclesiae parochiali adscripti mieli też na plebanii stół wspólny, a to nie tylko na wsi, gdzie kapłanowi niepodobna w zwykłych warunkach indziej wikt stosowny znaleźć, ale także w miastach, nawet większych, gdzieby można wprawdzie

[1]) W naszej literaturze najobszerniejszem i zapewne najlepszem dziełem z tego zakresu jest X. Biskupa Nowowiejskiego (świeżo wydany) „Wykład liturgii Kościoła katolickiego". Tom. I. liczący 1330 stron, z 659 ilustracyami, obejmuje traktaty o kościołach, o ołtarzu, o cyboryum i świetle, o malarstwie, mozaice i rzeźbie itd. (cena 10 rb.). Tom. II. (670 str. z 250 ilustr.) obejmuje działy o paramentyce liturgicznej i o naczyniach liturgicznych (cena 5 rb.). Tom III. (str. 510, z 23 ilustr.) obejmuje działy o księgach liturg., o muzyce i śpiewie liturg., o udziale chóru w nabożeństwach itd. (cena 2 rb.). Tom IV. poucza o brewiarzu, o godzinach kanonicznych itd. Skład główny w księg. Gebethnera w Warszawie.

[1]) Por. art. „Gaz. Kość." z r. 1916. p. n. „Głos neutralny" (str. 18 i 31). „Wzajemne pożycie księży na plebanii" (str. 65 i 149). „Głos wikarego" (str. 89). „Czy dalsza dyskusya jest potrzebna?" (str. 109). „W sprawie projektowanego regulaminu" (str. 147, 218, 352) i „Nowy podręcznik teol. pasterskiej" (X. Dra Dębińskiego) str. 345.

stołować się w restauracyach lub domach prywatnych, ale równocześnie narazić się na mniej dobrane towarzystwo, na złośliwe plotki i obmowę, nawet na zgorszenie i pokusy...

Mieszkanie dla wikarego powinno się znaleźć zawsze na plebanii lub w jej obrębie, w miejscu odpowiedniem jego stanowisku, powinno być suche, czyste i zdrowe. W wielu dyecezyach postarano się już, by to mieszkanie było zaopatrzone w najpotrzebniejsze sprzęty, kosztem kasy kościelnej lub proboszcza.... Wikarzy korzystają z tych sprzętów bądź darmo, jeśli ich koszt pokryto z kasy kościelnej, bądź za opłatą pewnej kwoty, jeśli je nabyto na raty lub jeśli proboszcz łożył na ten cel z własnej kieszeni" itd. (str. 769—773).

Bardzo dobre są dalej wskazówki i rady, których Autor udziela wikarym (str. 774 nn.), jak mają zachowywać się wobec proboszczów i jak spełniać swoje obowiązki. Wszędzie zaś powołuje się Autor na liczne dzieła i rozprawy, z których korzystał i w których czytelnik może znaleźć więcej jeszcze informacyi, dotyczących pewnych spraw i zagadnień. W szczególności zapisuje on skrupulatnie wszystko, co znalazł w czasopismach kościelnych polskich, przez co ułatwił bardzo pracę innym, którzy zechcą pisać o tematach, przez niego traktowanych.

Część druga: Pastoralna ogólna i szczegółowa obejmuje dwanaście rozdziałów, starannie i głęboko obmyślanych o „warunkach i podstawach dla skutecznego duszpasterstwa", o „usuwaniu przeszkód w parafii", o „pozytywnem duszpasterstwie w zakresie rodziny chrześcijańskiej", o „duszpast. wedle typów parafii", o „duszp. socyalnem", a w dziale II. („Duszp. indywidualne czyli szczegółowe") o „duszp. dostosowanem do wieku i płci parafian", o „duszp. dostosowanem do stanu intelektualnego jednostek", o „duszp. dostosowanem do umysłowych zboczeń jednostek", o „duszp. dostosowanem do kierunku woli jednostek", o „duszp. względem chorych i umierających" i „względem, więźniów i skazańców".

Dodany na końcu spis rzeczy „porządkowy" i „alfabetyczny" ułatwia wyszukanie każdej materyi w podręczniku.

Tu i ówdzie natrafia się na pewne drobniejszego znaczenia usterki, a zwłaszcza stylistyczne, na wyrażenia niedokładne, jak np. kiedy Autor pisze na str. 167, że wino do mszy „nie powinno też być tak stare, by przechodziło już w drugi ferment" (stare wino szlachetnego gatunku nie psuje się). A dalej: „wino należałoby napełniać w małe flaszki". Wyraz „Msza" pisze Autor często przez duże M, częściej przez małe m (str. 166, 288, 290, 291, itd.) itp. Te jednak usterki nie zmniejszają wielkiej wartości dzieła, które powinno n. zd. znaleźć się wnet we wszystkich naszych plebaniach, — obok „Kancelaryi parafialnej" tego samego Autora. Cena jego nie jest zbyt wysoka, jeżeli się uwzględni ogromne koszta, połączone dzisiaj z takiem wydawnictwem. X. P.

Wspomnienia pośmiertne.

Ś. p. X. Andrzej Konieczny.

Miasteczko powiatowe Dąbrowa straciło swego pasterza X. Andrzeja Koniecznego. Od 13. lat pracował tam w pełnem tego słowa znaczeniu a odwołał go Pan ze swojej winnicy tak niespodziewanie i tak szybko, (zaledwie kilka dni chorował), że wszyscy, którzy i jego zdrowie i pogodny umysł i ochotę do życia i pracy znali, nie mogą się oswoić z tą myślą, że tego kapłana niema już między żyjącymi!

Parafianie dąbrowscy stracili duszpasterza pracowitego nad wyraz, szerokiego serca dla biednych, kapłana wielkiej prostoty umysłu i uczciwości. Najbardziej może charakterystyczną cechą duszy tego kapłana była jego otwartość i szczerość. Nie było w nim obłudy ani pychy — ani gonienia za czemś, co mu się nie należało. Prawdziwy Izraelczyk, w którym nie masz zdrady. Nie silił się nawet na to, aby się okazać dobrym pasterzem, owszem stawiał się w swojej pokorze znacznie poniżej swojej wartości. W jego towarzystwie żyło się zdrową atmosferą szczerości i w tym właśnie rysie jego charakteru był talizman, dla którego tak powszechnie był kochany. Miał wielu XX. wikarych, czasem i takich, którzy poprzednio chętnie zmieniali posady — a którzy przy jego boku z zadowoleniem pracowali, póki ich Władza nie przeniosła na inne miejsce. Byli i tacy, którzy bali się przeniesienia i chcieli jak najdłużej w Dąbrowie pracować.

Ta szczerość znalazła oczywiście uznanie w szerokich sferach 10 tysięcznej parafii. Mówiono jednozgodnie: „Poczciwa dusza, ten nasz kanonik, na nim się nikt nie zawiedzie". I nikt się nie zawiódł na dobrem jego sercu. Nigdy nie sądził drugich i nie chciał, aby przy nim krytykowano bliźnich — i wszelki w tym kierunku wysiłek umiał zgrabnie w żart obrócić.

Przytem cechowała duszę zmarłego — zawsze ochotna i zawsze wesoła gotowość do pracy. Szedł do pracy „sicuti gigas" pospiesznym krokiem i jak na gody. Kilkogodzinna praca w konfesyonale bez przerwy — na odpustach, misyach, w czasie wielkanocnym, przy spowiedzi dzieci — należała u X. Koniecznego do zwyczaju, który się sam przez się rozumiał. Nigdy nie odmawiał zaproszeniu z kazaniem w sąsiedztwie lub z pomocą do spowiedzi. Ochotnie też stawał do pracy społecznej — na zebraniach i wiecach, gdy była potrzebną jego obecność. Utrzymywał o sobie, że nie jest „żadnym mówcą", ale gdy była potrzeba, przemawiał rozumnie, z przekonaniem i nie rzadko z powodzeniem.

Był dobrym duszpasterzem, współczującym z potrzebami i nędzą swych parafian. Czasem trzymał się twardo, ale skoroś tylko z lekka podrapał ową twardość, spostrzegłeś pod nią serce miękkie i czułe. -- Chętnie odwiedzał chorych — a ubodzy chorzy często prosili o przybycie „kanonika" z ostatnimi Sakramentami — bo wiedzieli, że odjeżdżając nie zostawi ich bez zaopatrzenia. Wiele aparatów za jego duszpasterstwa przybyło do kościoła — a jeżeli zarzucano mu brak energii w sprawie budowy nowego kościoła, to czynili taki zarzut ludzie, którzy chcą zawsze widzieć niebotyczne skutki zabiegów, nie bacząc na to, że i najlepsza wola i najśmielsza energia w pewnych okolicznościach na nic się nie przyda. — Nie postawił kościoła w Dąbrowie, ale złamał pierwsze lody oporu — i zaszczepił myśl, iż kościół trzeba budować. Niechże ta myśl stanie się owem ziarnem, o którym Chrystus mówi, że kiełkuje, rośnie i owoce wydaje, choć ludzie tego wzrostu nie widzą (Marek 4. 27).

Na brak uznania nasz drogi zmarły nie mógł narzekać. Miał je od swej Władzy, od braci kapłanów i od parafian. Najlepszym zaś dowodem tego uznania był olbrzymi tłum ludu na pogrzebie i serdeczny płacz za zmarłym pasterzem, oraz orszak 40 kapłanów.

Pan Bóg zapłaci słudze swemu za jego pracę, ofiarność i dobre zamiary — a nam pozostanie serdeczna pamięć w duszy po nieodżałowanym współbracie i obowiązek modlitwy za niego.

X. A. W.

S. p. X. Jan Ramocki.

I jedna jeszcze więcej mogiła przybyła. A tyle ich w tym czasie wojny! Jedni giną na polach bitwy i w szpitalach od ran, otrzymanych na wojnie. A i z tych, co zostali w domu, aby pracować dla dobra rodziny czy ogółu, coraz więcej ubywa, więcej ich umiera niż w spokojne lata, śmierć ma dobre żniwa, a choroby pomyślny urodzaj.

Dnia 29-go grudnia z. r. zmarł X. Jan Ramocki, proboszcz w Dydni. Urodził się on w r. 1863 w Leżajsku; pochodził z niezamożnej, ale zacnej rodziny mieszczańskiej. W jego rodzicielskim domu była ojcowska groza i wiara żywa, toż w tej rodzinie nie bywało zgrozy. S. p. X. Jan skończył gimnazyum w Rzeszowie, a seminaryum duchowne w Przemyślu, gdzie dał się poznać jako młodzieniec utalentowany. Wyświęcony na kapłana, był wikarym w Rokietnicy, w Samborze, w Miechocinie, w Gorzycach, w Jodłowej, w Żołyni, w Dynowie.

Gdy po tragicznej śmierci X. Feliksa Biesiadzkiego opróżniło się probostwo w Dydni, został tam proboszczem X. Jan Ramocki i pracował tam przez 18 lat. A parafia to liczna, bardzo rozrzucona, dlatego napracował się w niej ciężko, ale niestety zdrowie długo nie dotrzymało, siły opadały, a od trzech lat co pewien czas miewał ataki na serce. Podczas najazdu rosyjskiego wytrwał na swojej placówce, ale inwazya sprawiła, że jego zdrowie psuło się bardziej jeszcze, niedomagał na serce gorzej.

Życie jego, zwłaszcza odkąd został samoistnym duszpasterzem, było gęsto cierniami usłane. Przyczyniło się do tego jego usposobie-

nie melancholijne, przygnębione i to, że brakowało mu energii, inicyatywy i rzutkości, tych potrzebnych proboszczowi przymiotów. Dosyć, że w toku lat rozdział między proboszczem, a parafianami powiększał się coraz bardziej i bywały obustronne żale i niechęci. A mogło to dziwić tem więcej, że gdzie zmarły był wikarym, a był nim przez 11 lat, tam ludzie go serdecznie miłowali i do tego czasu mile o nim wspominają i pewnie nie wnet zapomną.

Odznaczał on się wielkiemi cnotami, a zwłaszcza pokorą: nigdy się nie chwalił, o tytuły i dostojeństwa nie ubiegał się, ludzi szanował. O nikim źle nie mówił, nie skarżył się na swoje bole i gdy kogo polubił, był mu szczerze oddany.

Pieniądze miał, bo małe były jego potrzeby. Zwierzał się czasem wobec swoich zaufanych, że zamyślał użyć swego majątku dla dobra ludzkości. Ale czy zrobił jakie pożyteczne zapisy i czy wogóle zostawił testament, o tem nie dowiedziałem się dotąd.

Umarł nagle, jak często zdarza się kapłanom, dostał ataku sercowego, jak i przedtem nieraz, ale tym razem już nie ożył. Został pochowany w dniu 1. stycznia b. r. na cmentarzu w Dydni. Płacz, jaki był podczas jego pogrzebu, świadczył, że parafianie mimo różnych obopólnych niechęci, kochali go i byli doń przywiązani. Najlepszym zaś probierzem wartości człowieka jest żal, jaki zostaje po jego zgonie. — *R. i. p.* *T.*

Od redakcyi.

Jeden z Czcig. Konfratrów wyraził niezadowolenie swoje z powodu, że zniżamy niektórym Księżom prenum. „Gaz. Kość.“, że więc jedni płacą więcej a drudzy mniej; sądzi on bowiem, że każdego kapłana stać na prenumeratę całkowitą. Wyraża też przypuszczenie, że chyba „Gaz. Kość.“ posiada jakiś fundusz, który jej pokrywa ten ubytek dochodów. Na to odpowiadamy: 1-e) Pewna część Duchowieństwa naszego ma rzeczywiście dochody tak skromne, że musi się liczyć z każdą koroną; jeden np z XX. wikarych pisze nam właśnie, że dochód jego z jura stolae wyniósł za cały miesiąc: cztery kor.! 2-e) Księży, proszących o zniżenie prenumeraty, jest stosunkowo bardzo mało, a odbicie i rozsyłka kilkudziesięciu egzemplarzy więcej nie wchodzi prawie w rachubę, więc nie potrzeba osobnego jakiegoś funduszu na pokrycie ubytku dochodów, spowodowanego przez zniżenie przedpłaty dla ekspozytów uboższych i katechetów szkół ludowych i wydziałowych. 3-e) Większe rozpowszechnienie pisma przynosi mu zawsze znaczną korzyść, bo wtedy zapoznaje się z niem większa liczba czytelników, a w dalszem następstwie wzrasta i liczba prenumeratorów (dotąd jest jeszcze wielu księży parafialnych, zwłaszcza w Królestwie i w Wielkopolsce, ale także w Galicyi, którzy Gazety naszej nie znają). 4-e) Fundusz prasowy Tow. Kapłanów pomnożył się wprawdzie w ostatnich miesiącach o przeszło 2.000 koron (w tych dniach otrzymaliśmy tysiąc kor. od X. Kanonika Dra Badeniego, za którą to hojną ofiarę składamy mu serdeczne podziękowanie!), ale jest jeszcze tak mały, że o wydatnem zasilaniu corocznem „Gazety Kość.“ z jego procentów niema dotąd co mówić.

Wiadomości dyecezyalne.

Dyec. przemyska.

Zamianowany X. Andrzej Fuksa, zast. katech. w semin. naucz. w Krośnie, katechetą stałym w tym samym zakładzie.

Dyec. tarnowska.

Odznaczeni exp. can. XX.: Ignacy Kołodziej prob. w Ptaszkowej, który równocześnie zamianowany został wicedziekanem bobowskim; Stanisław Warchałowski, prob. w Bobowej, zamianowany równocześnie notaryuszem dekanatu bobowskiego i Jan Rosiek, prob. w Jastrzębi.

Instytuowany na prob. w Tropiu X. Andrzej Piś.

Przeniesieni XX.: Jan Szczerbiński z Tropia do Szynwałdu; Mieczysław Trojnacki z Szynwałdu do Łukowicy; Andrzej Zalasiński z Bolesławia do Wielopola.

Urlop dla poratowania zdrowia otrzymał X. Józef Boduch, wik. w Wielopolu.

Powołany na kapelana wojskowego X. Andrzej Bogacz, katecheta w Bochni.

Zmarł X. Adam Bryl, emeryt, były wikaryusz w dyecezyi tarnowskiej. — *R. i. p.*

Korespondencya Redakcyi.

Kilku zapytującym o „ewakuowanego Proboszcza“ donosimy, że już otrzymał administracyę innej parafii.

Pismo, poświęcone czci N. Sakramentu, nie wychodzi obecnie. — Na inne zapytania odpowiemy później.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów
Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik.
Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 77.